

## JACEK WOJCIECHOWSKI

*Biblioskan. Monitoring i ewaluacja w bibliotekach publicznych*, red. Aleksandra Marciniak, Paulina Milewska, Iwona Sójkowska, Łódź: Fundacja Normalne Miasto – Fenomen 2016, s. 243



Wcale nie tak rzadko trafiam na teksty i na całe książki z szeroko pojętego obszaru inb, które nie tylko nie proponują żadnych nowych i rozsądnych treści, ale też serwują banały i dyrdymały, ponad miarę zamulając świadomość. Dlatego lepiej, żeby nikt ich nie publikował ani nie wydawał, bowiem zwracanie głowy to niekoniecznie jest to, o co w piśmiennictwie naukowym lub zawodowym chodzi.

Taką też mam opinię o książce zatytułowanej modnie *Biblioskan*, z dopełnieniem tej frazy w tytule o informację, że chodzi o *monitoring i ewaluację w bibliotekach publicznych*, chociaż nikt nie dopowiedział, że akurat tylko łódzkich. Zresztą – jak

się okazuje – nie wszystkich. Na okładce wymieniono redaktorów, co należało zatem tu przepisać, natomiast autorów (jeszcze Jarosław Góralczyk i Magdalena Kokosińska, a bez Iwony Sójkowskiej), nie wiadomo dlaczego już nie. Z dużym (i przykrym) niedowierzaniem dostrzegłem ponadto, że w funkcji naukowej recenzentki wystąpiła prof. dr hab. **Ewa Głowacka** z UMK w Toruniu, bo jednak takiego przedsięwzięcia akceptować nie należało. Ale nie wykluczam, że jej ewentualne zastrzeżenia i uwagi zostały zignorowane, niestety bowiem tak często bywa.

Projekt (tak to się teraz nazywa) polegał na fragmentarycznym opisie i ocenie funkcjonowania pięciu miejskich – w istocie dzielnicowych,

ale niezależnych – bibliotek publicznych w Łodzi oraz ich filii, w łącznej liczbie 75 (nigdzie tego nie zsumowano) i oczywiście sam pomysł nie budzi zastrzeżeń. Natomiast sposób wykonania: **wręcz zasadnicze**. Choćby dlatego, że spod obserwacji wyłączono, w całym kraju znaną z dokonań, Wojewódzką Bibliotekę Publiczną tamże, ponieważ – jak napisano – za bardzo różniła się od pozostałych (!?). To jest do opatentowania: jeżeli mianowicie coś bardzo różni się od reszty, to trzeba udawać, że tego czegoś w ogóle nie ma.

Środki na realizację projektu pochodziły z EOG. Rozszyfrowałem ten tajemniczy skrót. To Europejski Obszar Gospodarczy, a mówiąc po ludzku – finansowo-gospodarcza inicjatywa trzech krajów: Norwegii, Islandii oraz Liechtensteinu. Jak powszechnie wiadomo, to są kraje dostatecznie duże i zamożne, żeby łożyć na przedsięwzięcia niekoniecznie efektywne.

Żeby biblioteki łódzkie zrelatywizować szerzej, autorskie *skanery* zostały skierowane także na kilka innych miast – dodatkowo z ogólnokrajowym zestawieniem wprowadzającym (s. 37, tab. 1), w którym jednak nie ma bibliotek miejskich (!), a informacje o bibliotekach powiatowych nie odpowiadają prawdzie. Widać, że nikt z autorskiego grona nie ma pojęcia, co to są za biblioteki. Skrótowo zasygnalizowano strzępy sytuacji w Warszawie oraz w Poznaniu, co jednak do żadnych porównań nie skłania, a także w Krakowie, skąd kilkudzaniowe *doniesienie* jest w znacznym stopniu mylne.

Opisy poszerzone pochodzą z Wrocławia i z Gdańska, w najbardziej obiektywnym i miarodajnym ujęciu, bowiem w relacji dyrektorów tamtejszych bibliotek miejskich. Stąd niemały aplauz ekipy *skanującej*, z tym że we Wrocławiu akurat nie dla WBP. Bezkrzytycznie zostały powtórzone autozachwyty: dla wzrostu wynagrodzeń w następstwie redukcji etatów (co na to zredukowani?), dla łączenia (więc i likwidacji) niektórych filii oraz dla tworzenia bibliotek publiczno-szkolnych, co według zgodnej opinii znawców<sup>1</sup> jest biblioteczną katastrofą. No i tyle to warte.

Głównym przedmiotem, niech będzie, że *skanowania*, jest jednak praktyka bibliotek publicznych w Łodzi – jak już wspomniałem: bez tamtejszej WBP. Przegląd faktów i zdarzeń opiera się na rozbudowanej, lecz nadmiernie detalicznej, więc i zbanalizowanej, analizie bibliotecznej dokumentacji oraz na rozpoznaniach w trybie wywiadu, jednak metodologiczna sprawność realizatorów jest wysoce ograniczona. Nikt nie przejmuje się żadną reprezentatywnością ani wiarygodnością, bo też

---

<sup>1</sup> B. Staniów, *Biblioteka szkolna dzisiaj*, Warszawa 2012, s. 192; J. Wołosz, *Meandry polskiego bibliotekarstwa 1991–2011*, Warszawa 2012, s. 118.

sposób wykorzystywania dokumentacji oraz zadawania pytań nie służy pozyskaniu miarodajnych informacji. Tymczasem piśmiennictwo na temat badań społecznych, choćby tylko polskie, jest wyjątkowo obfite i łatwo dostępne – to setki tytułów – toteż można było **przed** realizacją całego przedsięwzięcia trochę wzbogacić orientację w tym zakresie, ale nie widać żeby tak się stało. Szczerze mówiąc, to jest poznawczy knot.

Bo też w ogóle przywołana w całym tomie literatura przedmiotu jest czysto pretekstyczna i na ogół trzeciorzędna. Opracowań poważnych nie ma prawie wcale. Nic więc dziwnego, że i znajomość analizowanej problematyki nie wygląda na pogłębioną. Wprawdzie od dziesięcioleci wiem, że na bibliotekarstwie **wszyscy** znają się świetnie, bez wczytywania się w cokolwiek, ale nie przesadzałbym z takimi przeświadczeniami, bo łatwo popaść w tupeciarstwo.

Poczynione obserwacje są nadmiernie detaliczne, powierzchowne, bez dostatecznego rozeznania ważności i skali wartości, a wnioski oraz *rekomendacje* – nadmiernie proste, banalne lub wręcz niemożliwe do zaakceptowania. Sporo do życzenia pozostawia również sposób relacjonowania treści: miejscami wręcz trudno zrozumieć, o co właściwie chodzi. A to z kolei nieprzyjemnie kontrastuje z nadmierną pewnością swoich racji wszystkich narratorów. Mianowicie nieustannie daje znać o sobie **poza ekspercka**, ponieważ zaś całkowicie bezzasadna, trudno powstrzymać zniechęcenie.

Faktograficzne obserwacje łódzkich bibliotek publicznych są różnej natury. Czasami trafne i niemarginalne, przeważnie jednak nijakie, bagatelne i oczywiste, więc zbędne, a często w ogóle bez znaczenia. Brakuje w tym wszystkim porządku, hierarchizacji oraz użytecznych konkluzji. Komentarze są nieodmiennie dyletanckie.

Trafnemu stwierdzeniu, że nie ma w Łodzi jednolitej sieci bibliotek publicznych (to oczywistość), towarzyszy opinia, że lepszym relacjom posłużyłaby... decentralizacja. Czy może być większa bzdura? Zaś odnotowany rejestr godzin otwarcia bibliotek dopełnia supozycja, żeby w całym mieście ujednoczyć pory funkcjonowania. A może tak jeszcze przywrócić bibliotekarkom chałaty? Wtedy jednolitość będzie jak w wojsku.

Z analizy Biuletynów Informacji Publicznej nie wynika absolutnie nic. Natomiast jest sygnał, że przy ewentualnym scaleniu zakupów książek w całym mieście (to lipa) trzeba byłoby tamże (w BIP-ie) ogłaszać przetargi. Ktoś nie odróżnia BIP-u od Biuletynu **Zamówień** Publicznych. Otóż takie to są opinie. Dopełnione komentarzem, że realizatorów projektu *cieszą zapowiedzi zmian*. Udało się osiągnąć wyżyny megalomanii.

Natomiast ani stan bibliotecznych finansów, ani struktura budżetów nie pobudziły autorskich refleksji, chociaż to są sygnały **katastrofy**.

Nie ma też żadnego komentarza do obserwacji, że płace – w wysokości 2200–2600 złotych brutto (!!)) – stanowią do 65% ogółu wydatków. Nikogo to nie poraziło, nikt nic z tego nie zrozumiał? Natomiast jest *konkluzja*, że połączenie bibliotek publicznych i szkolnych obniżyłoby koszty utrzymania. Jasne: tak jak instalacja jadalni w wychodku pozwoliłaby oszczędzić, już to na serwetkach albo na papierze toaletowym.

Jest też w książce relacja z wywiadów oraz z audytu o nazwie *tajemniczy klient*. Ten idiotyczny odpowiednik polski sformułowania *mystery shopping*, *mystery client* rzeczywiście trafił u nas do obiegu<sup>2</sup>. Oznacza jednak klienta lub usługobiorcę niejawnego, czyli *incognito*; pojawiło się też określenie, chyba najtrafniejsze, *podstawionego nabywcy*<sup>3</sup>. Słowo *tajemniczy* oznacza bowiem coś zupełnie innego: ani nie *ukryty*, ani nie *tajny*. Ale nie w tym rzecz i nie autorzy takie sformułowanie wymyślili. Poraża natomiast banalizacja tego przedsięwzięcia, bo oto 16 osób dowiedziało się, że w bibliotekach jest ksero, Internet oraz dostęp do dziennego światła. Przyciągania ziemskiego już nie weryfikowano.

We wszystkich rozmowach rozpoznawczych (powiedzmy, że to wywiady), zdumiewają naiwne pytania dotyczące zresztą oczywistości – jakby żywcem przejęte z podręcznika instrukcji, jak **nie należy** przeprowadzać wywiadów. A wśród komentarzy pojawia się m.in. pretensja, że bibliotekarze nie znają prawa autorskiego, które (rzekomo) dopuszcza kserowanie całych dokumentów. Autorki najwyraźniej nie doczytały stosownej ustawy do art. 28.

Sugestie cząstkowe oraz konkluzje finalne to w ogromnej większości banały i oczywistości, a nierzadko wręcz nieporozumienia. Pomysł przedsięwzięcia, które mogło być całkiem rozsądne i pożyteczne, rozleciał się w realizacji, wskutek niewystarczających kompetencji oraz nadmiernego zadufania wykonawców. Którzy dołączyli tym samym do grona osób przeświadczonych że bibliotekarstwo i bibliologia nie wymagają specjalnego zorientowania. Niewątpliwym osiągnięciem wprawdzie było pozyskanie dotacji na projekt, ale to listę sukcesów zamyka.

Tak więc okazał się już wysypisko pustych i niepotrzebnych wypowiedzi na temat bibliotek, wzbogaciło się o kolejną i jestem pewien, że na tym nie koniec. Zamulanie profesjonalnej świadomości stanowi bowiem trwały składnik *urody* tej dyscypliny i tego zawodu.

---

<sup>2</sup> *Badania marketingowe. Od teorii do praktyki*, Gdańsk 2007, s. 224–229; Ph. Kotler, *Marketing. Analizy, planowanie, wdrażanie i kontrola*, Warszawa 1994, s. 37; J. Otto, *Marketing relacji*, Warszawa 2001, s. 91–92.

<sup>3</sup> Ph. Kotler, *Dziesięć śmiertelnych grzechów marketingu*, Warszawa 2005, s. 45.